



GENOWEFA NIEWCZAS urodziła się w 1914 r. w wielodzietnej rodzinie chłopskiej we wsi Biała niedaleko Wielunia. Tu wychowała dzieci i wnuki, a teraz opiekuje się prawnuczkami. Ukończyła 5-klasową szkołę podstawową. Nieobca jej wojenna tułaczka. Okres okupacji przeżyła na przymusowych robotach w Rzeszy. W 1945 roku powróciła do rodzinnej wsi. W ciężkich powojennych latach wykorzystuje umiejętności krawieckie i tkackie, których nauczyła się w młodości. Znana w okolicy jako uzdolniona tkaczka wykonuje samodziały nie tylko na własne potrzeby, ale również w celach zarobkowych. Uczestniczy aktywnie w życiu kulturalnym rodzinnej wsi.

Do pisania zainspirowały ją refleksje nad własnym losem, otaczającym światem i pięknem przyrody. Wiersze układa od 30 lat.

Dawna wioska kochana

Gdy sięgnę pamięcią wstecz
To widzę jak we śnie
Tę dawną wioskę kochaną
Wiosennym słońkiem odzianą
Te stare chaty drewniane
I dawne dachy słomiane
Na łąkach pasą się trzoda
W stawie była czysta woda
A na tej zielonej łące
Jak okiem sięgnąć kaczeńce
W słończku się zółciły
Jak jasne słońko złocily
Nad brzegiem wody w strumyku
Roilo się żab bez liku
A bociek brodził po łące
I chwycił żabki skaczące.
Zielono było wokół
I pięknie i wesoło
Tam gospodynie chodziły
I swoje płótna bieleły
Póki słoneczna pogoda
I w stawie ciepła woda
Na trawie posiadały
Piękne piosenki śpiewały
A żaby rechotały
I w rytm im wtórowały
Tak wiele bym za to dała
gdybym to dziś ujrzeć miała

Dziś się zmieniła przyroda
Wyschła już w stawie woda
I żaby nie rechoczą
I bocki nie klekoczą
Już nie cieszy tak słońce
I tego mi żal najwięcej.

Kocham życie

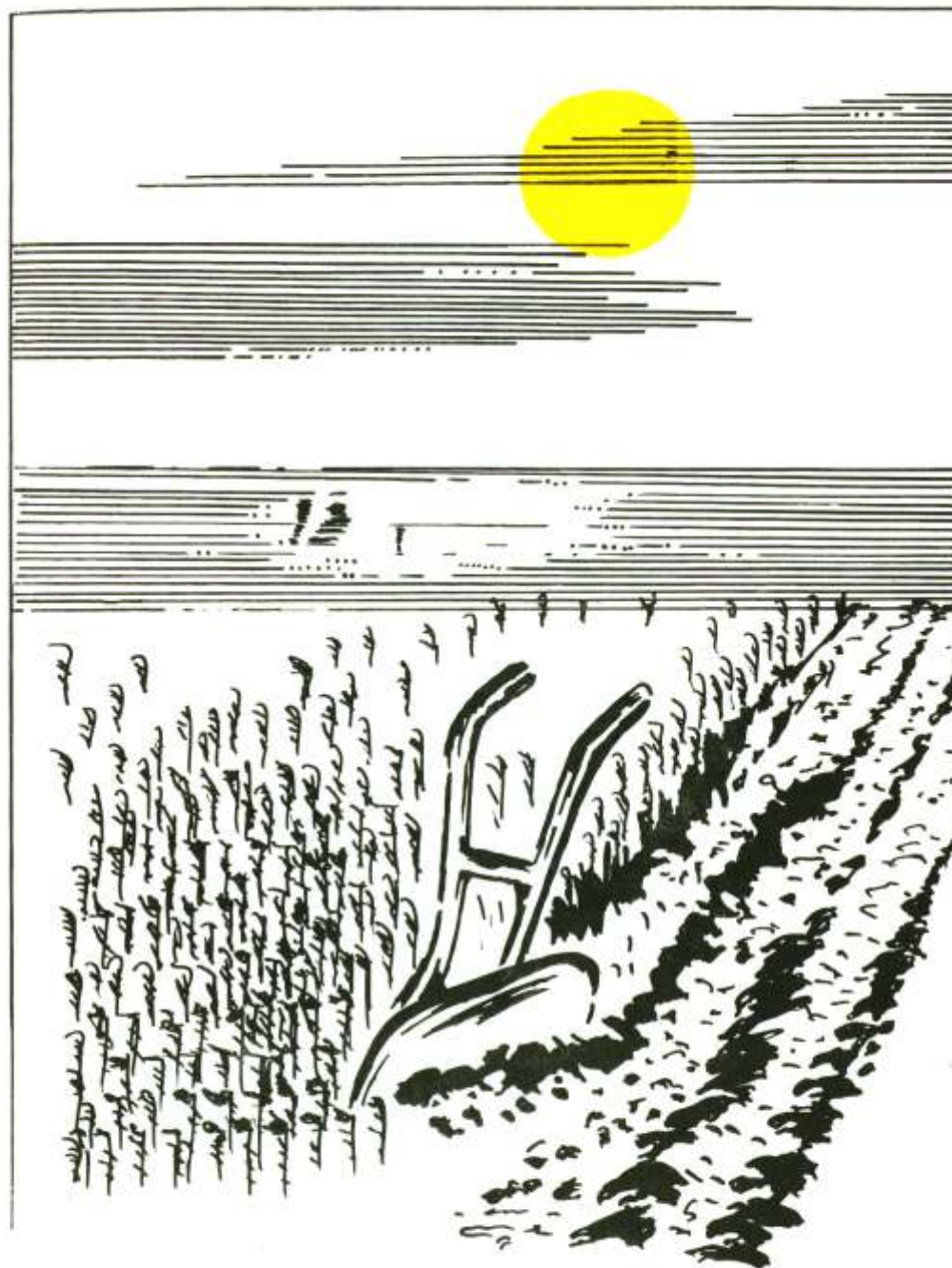
Kocham życie, kocham świat
Mimo swoich starych lat,
Kocham pola, gaje, łąki
i słowiki, i skowronki,
Kocham kwiaty, kocham dzieci
I to słońko, co nam świeci.
Wszystko mnie na świecie cieszy
Do ziemi mi się nie śpieszy.
Ja tak chciałabym żyć wiecznie
Tak bez końca i koniecznie.
Co dzień Boga proszę skrycie,
By mi dał najdłuższe życie.
Zła jestem, jeśli ktoś plecie,
Że mu jest nudno na świecie,
Że mu na świecie niemiło,
Że mu się już żyć sprzykrzyło...
A największa mnie złość bierze,
Gdy ktoś życie sam odbierze.
Świat jest piękny, piękne życie –
Czy wy tego nie widzicie?
Ja mogłabym żyć lat dwieście,
Byle dłużej, byle jeszcze.
Choć też nie mam prostej drogi,
Też idę przez ciernie, głogi.
Jestem stara, słaba, biedna
I nikomu niepotrzebna...
Mimo to, nie uwierzycie,
Jak ja bardzo kocham życie!

Może ktoś pomyśli sobie,
 Czy ona ma dobrze w głowie?
 Nie ma szkoty – mówią szczerze
 A do pisania się bierze.
 Ja nie widzę w tym nic złego,
 Ja się biorę do wszystkiego.
 I do młotka, i do kielni,
 I do garnka, do patelni,
 I uszyję, i wykroję,
 Świnie karmię, krowy doję.
 Widły, kosę w pole niosę,
 Gnój rozrzucam, trawę koszę.
 Zimą odpoczywam sobie,
 w dzień i w nocy swetry robię.
 Wczasy spędzam przy burakach,
 Przerrywam, przecinam, hakam.
 Gdy przy burakach pracuję
 Taka mnie myśl prześladuje
 I coś woła, i coś prosi,
 Żeby zapisać w notesik,
 I tak prosi, i tak kusi
 Choćby człowiek nie chciał – musi.

„...Alles raus! Wysiedlenie,
 Opuścić ten dom w godzinie.
 Gospodarze pobudzeni,
 Takim najściem zaskoczeni,
 Stoją jak oszołomieni,
 Nie wiedzą co robić mają,
 Ci płaczą, ci się żegnają,
 Ci litości domagają.
 Staruszek już całkiem siwy
 Stoi taki nieszczęśliwy,
 Cały drżący na wpół żywy,
 Też domaga się litości...
 ...Co się wówczas we wsi działo,
 Gdy gospodarzy nie stało,
 Żałosne zwierząt nawoływania,
 To wprost nie do opisania,
 Skrzeczą gęsi, kwiczą świnię,
 Beczą owce i rżą konie,
 Wyją psy i ryczą krowy,
 Na znak smutku i żałoby.
 Szwab za dużo sobie igra,
 Na polskich łzach szwab nie wygra,
 Bo ta ziemia łzą zroszona
 Musi powrócić do łona”.

Przywitanie z ziemią

Witaj polska ziemio! Ziemio ukochana!
Krwią polskich żołnierzy, chłopskim potem złana.
Jak ja, polska ziemio, za tobą tęskniłam,
Kiedy wysiedlona na obczyźnie byłam.
Choć cię wróg zagrabił, ja wierzyłam święcie,
Że wstaniesz, że wrócisz i żyć jeszcze będziesz
Przez śmierć swoich synów i przez wierność ludu
Otrząśniesz kajdany i dokonasz cudu.
Ja cię, polska ziemio, nigdy nie zdradziłam
Wywieziona z kraju, sercem z tobą byłam,
Ja przy każdej pracy o tobie myślałam,
By cię jeszcze choć raz ujrzeć – wzdychałam,
By móc jak najprędzej rzucić szwabskie strony
I jak ptak pofrunąć na polskie zagony.
Nie chciałam złota, klejnotów, rozkoszy,
Bo mi polski zagon nad wszystko jest droższy.
Tyś mnie, polska ziemio, chlebem swym karmiła,
Chcę, byś mi po śmierci także lekką była.
Ten mnie dziś zrozumie, kto cię jak ja stracił,
Ten zrozumieć umie, kto jak ja powrócił.



Nie marnuj czasu

Nie marnuj czasu na próżno
Bo go dogonić jest trudno
Czasu nigdy nie dogonisz
Choćbyś gonił go i gonił
Czas nie stanie, nie poczeka
Bo czas pędzi i ucieka
Gdy coś zrobić masz, nie zwlekaj
Czas na ciebie nie poczeka
Czas nie wraca gdy go strwonisz
Rakietą go nie dogonisz

Matka

Czy ta młoda, urocza, zdrowiem tryskająca
Czy ta staruszka siwa nad grobem stojąca
Czy ta bogata, strojna w złoto i purpury
Czy ta, na której wiszą łachmany i dziury
Czy ta co w wielkich pałacach służbą dysponuje
Czy ta co w pocie czoła na czarny chleb pracuje
Zawsze matka, jednakowo winna być traktowana
Bo nikt jej nie może odebrać matczynego miana.

Bezlitosna i okrutna

Dwie tylko córeczki miałam,
Jak ja je bardzo kochałam!
Tylko ty wiesz dobry Boże
Jak to matka kochać może.
Ich smutkiem się martwiłam,
Ich radością się cieszyłam,
Nigdy nie pomyślałam
Bym je śmierci oddać miała.
Do kościoła prowadziłam,
Rączki do Boga składałam,
I pacierza je uczyłam.
A teraz mi je śmierć wzięła.
Starsza jeszcze panną była,
Dobłą pracą się cieszyła,
Dwudziestu trzech lat nie miała
Jak śmierć po nią zapukała.
Nie minęły i dwa lata,
Nowa rozpacz, nowa strata.
Jeszcze pierwsza boleść trwała
Jak po drugą zawitała.
Młodsza już mężatką była,
W szkole dzieciaki uczyła.
Wesolutka, roześmiana,
Bardzo przez dzieci lubiana.
Jeszcze większą rozpacz sprawiła,
Bo sierotkę zostawiła,
Jedno-miesięcznego syna,
Z którego śmierci przyczyna.
Bezlitosna i okrutna
Jam przez ciebie dziś tak smutna.
Czy to taka wola nieba,
Że tak młode zabrać trzeba?
Obie takie młode były,
Tak tym życiem się cieszyły,
A ty na to nie zważałaś,

W kwiecie wieku je zabrałaś.
Mniejsza by ta rozpacz była,
Byś choć jedną zostawiła.
Bezlitosna! wzięłaś obie,
Teraz leżą w jednym grobie.
Jedno coś mi zostawiła,
To tylko na nich mogiła,
Ta ziemia co je przygniata,
I ta rozpacz, i ta strata.
Tam ma ścieżka wydeptana,
A mogiła łzami złana.
Tam nad łosem ubolewam
I kwiaty łzami podlewam.
Córki moje, czy wy wiecie
Jak mi ciężko żyć na świecie!

Dzisiejsza moda

Ta dzisiejsza moda bardzo oszukana
Nie odróżnisz dzisiaj panienki od pana
Panny noszą spodnie, palą papierosy
A mężczyźni znowu noszą długie włosy
Poczekajcie chłopcy, jeszcze wam panienki
Założą korale, fartuszki, sukienki
Każą siedzieć w domu, obiady gotować
Każą dzieci niańczyć i prać, i prasować
Z tą dzisiejszą modą łatwo się pomylić
Wziąć pannę za chłopca, chłopca w pannę zmienić
Na ten przykład, poszła panna kupić chleba
A piekarz się pyta: co panu potrzeba?
A znowu kawaler kupić chciał stodyczy
Ekspedientka pyta: co panienka życzy?
Jeszcze gorzej było – proszę posłuchajcie
Co się przydarzyło naszej koleżance
Otóż poszła Mańka rankiem na spacerek
Ślicznie słońko świeci, przyjemny wiaterek
Idzie z papierosem, a że piękna była
Więc swoją urodą chłopaków wabiła
Podszedł do niej Antek z takim długim włosom
W takich samych spodniach i też z papierosem
I usiadł obok niej w parku na ławeczce
Proszę koleżanki – do ucha jej szepce –
Może tak przejdziemy spacerkiem do lasu
Jest wolna sobota, mamy dużo czasu
Mańka propozycję tę chętnie przyjęła
Bo pana Antosia za panienkę wzięła
Idą ramię w ramię, nikt oczom nie wierzy
Czy to są dziewczynki, czy też dwaj koledzy
Że są płci obojga nikt się nie domyśla
Że to jest pan Antek i panna Maryśka
Stanęli pod lasem, palą papierosy
A wietrzyk przyjemnie rozwiewa im włosy
Antoś proponuje, proszę koleżanki

Może odpoczniemy tu obok polanki
Dobrze koleżanko – Mańka przytaknęła –
Podróżą do lasu też zmęczona była
Siedli obok siebie na zielonej trawce
I już jej pan Antoś coś do uszka szeptem
Jak odpoczywali, tak odpoczywali
To ja wam kochani nie powiem już dalej
W lesie jest drzew wiele, a ich tylko dwoje
A co później było nie są sprawy moje
Odtąd Mańka co dzień na spacerki chodzi
By spotkać Antosia, bo umknął jak złodziej
Po tym zajściu w lesie wrócił do swej chaty
Bo pan Antoś jest już od dwóch lat żonaty
I dla niepoznania, by zmienić urodę
Skrócił sobie włosy a zapuścił brodę
Ze Marysia płacze, czyja wina była?
To dzisiejsza moda Mańkę pokrzywdziła
Gdyby była wówczas chodziła w sukience
Nie bawiłaby dziś Wojtusia na ręce
A i nasz pan Antoś nie zdradziłby żony
Gdyby był jak dzisiaj krótko ostrzyżony

Pijak i świnka

Idzie sobie pijaczyna
I sam z sobą gadkę zaczyna.
– Marnie mi wypadło, marnie,
Kto mnie dzisiaj w dom przygarnie,
Wczoraj jeszcze w swoim spałem,
A dzisiaj go już przechlałem,
Cały dobytek straciłem,
Wszystko przez gardło puściłem,
A teraz mi wyszło marnie,
Kto mnie biednego przygarnie.
Plotąc w kółko marnie, marnie,
Aż podszedł gdzieś pod świniarnie,
Kędy świnka przechodziła.
– Może byś mnie przygarnęła?
Tak zagadnął pijak świnkę,
Strojąc do niej słodką minkę.
– Co! ja bym cię przyjąć miała,
Świnka gniewnie zawołała,
W złości aż ryj wykrzywiła,
Ja bym się za ciebie wstydziła.
Dosyć mi już ubliżają,
Jak cię świnią nazywają.
Każdy mówi, to ta świnka,
A co świnka temu winna.
Czym ja kiedy wódkę piła,
Bym z tobą zrównana była.
Jest rzeczą niespotykaną,
By widzieć świnię pijaną.
Z miną wielce obrażoną,
Ogonek swój zakręciła,
Poszła ścieżką sobie znaną
A pijaka zostawiła.
Marnie pijaczyno marnie,
Ciebie już nikt nie przygarnie.
Każdy się pijakiem brzydzi,
I świnka się za ciebie wstydzi.